

Długo się opierałem. Mijały lata, a ja nie chciałem jechać na zgliszcza mojego dzieciństwa. Oglądać ruiny domu, w którym się wychowałem. Odpędziałem od siebie myśl o tej podróży. Zresztą trochę się nie składało. I wynajdowałem zawsze jakieś przeszkody. I nie bardzo był czas. Bo wiadomo jak to jest — obowiązki. Życie codzienne. Praca. I rodzina. I zbyt krótki urlop od nich. Corocznie. Na który długo się oczekuje, a jak już przychodzi, to jak z bicza strzelił. I po nim. I znowu codzienny kierat trosk. Obowiązków. Więc nie bardzo było jak jechać tam. A to nie blisko jednak, kilkadziesiąt kilometrów. Pociągami to wyprawa na cały dzień. Z przesiadkami na autobus. I w ogóle trudności różne. Utrudnienia. Także zdrowotne, bo czas przecież nie stoi w miejscu. Płynie. Gna jak wichur. Lata lecą i człowiek coraz mniej sprawny jest, coraz mniej odwagi ma na taką wyprawę. Coraz to odrealnia się mu w oczach.

A i na rodzinę nie mogłem liczyć w tym względzie. Przeciwna mi była zawsze. A temu wyjazdowi w szczególności. Rodzina ma swoje życie i potrzeby. Chciałaby miło spędzać czas na urlopie. Bawić się, wypoczywać. A nie tłuc się pociągami, osobowymi, na jakie zadupie. Tam, gdzie psy dupami szczekają, jak to się teraz mówi. Dla rodziny co inne ważne jest. Do Paryża na parę dni, to by się pchała. Tu o wygody podróży by nie dbała. Byle by zobaczyć. Popstrykać zdjęcia sobie przy wszystkich możliwych osobliwościach miasta. Przy tym wszystkim, co to koniecznie trzeba zobaczyć. I uwiecznić na karcie pamięci cyfrowego aparatu. Albo i telefonu. Co trzeba koniecznie zobaczyć? Czego nie widzieć w Paryżu nie wolno?

A jak nie Paryż, to może jakaś wycieczka egzotyczna. Na Maderę czy inną Krete. Czy do tych Arabów gdzie. A jeżeli ojca nie stać (znaczy się — mnie), to chociaż nad to polskie morze. Tam przynajmniej. Popływać. Popławiać się w nieróbstwie. Poopalać młode, wysportowane ciała. Polskie morze to trochę obciach jest, ale jakoś ujdzie w tłoku. Kością im w gardle nie stanie chyba. Jeszcze większy obciach, to na wieś jechać. Na zadupie takie gdzie nawet nowiuteńkie oprogramowanie GPS się gubi. Głupieje. A czy tam w ogóle zasięg jest? Są jeszcze białe plamy w Polsce, gdzie komórki zamierają. Może i tam taka pustynia. Cmentarzysko. To po co tam jechać, jak nie można od razu fotoreportażu z trasy zrobić? Powrzucać te swoje roześmiane, wyszczerzone głupawo miny na jakiegoś fotobloga. Pokazać setce znajomym, gdzie się aktualnie jest. I jaki ubaw wokoło. Bo bawić by się chcieli tylko. Dla zabawy żyją. Zabawkami. I dla poklasku znajomych z Internetu.

Więc ustalono, że miałem jechać sam. Za mnie zdecydowano. Nie liczyć na nich. Nie oglądać się. A przeciwnie — wygospodarować jakiś strzep czasu dla siebie. O sobie pomyśleć w końcu. I zebrać się na odwagę. W sobie.

Bo nie zawsze chce się wszystko pamiętać. Czasami dobrze zapomnieć. Zostawić coś za sobą. W przeszłości. Po to głównie, żeby iść dalej przecież. Przez życie dalsze. Może trochę bezmyślnie. Bezrefleksyjnie. Ale bez komplikacji. I tak dość to życie skomplikowane jest. Zwariowane. Zaskakujące czymś raz po raz. Nie wiedzieć kiedy.

Ale przecież musiałem tam pojechać. Dręczył mnie ten mus. Konieczność stawienia czoła dzieciństwu. Spojrzenia na nie oczami dorosłego. Mężczyzny po czterdziestce. Po przejściach. Z czterdziestym krzyżykiem na barkach. A żyjącego wciąż dla innych. A sobą rozczarowanego. I zawiedzionymi marzeniami. Pogrzebanymi. Bo po czterdziestym słupie milowym to człowiek już wie, że nie zawojował świata. Już się nie łądzi. Już oswoił się ze swoją nijakością. Przeciętnością. Choć mówili mu w dzieciństwie, że jest niezwykle. Nieprzeciętnie uzdolniony. Inteligentny. Bystry. I taki urodziwy. Że wszystkie panny będą za nim kiedyś, w przyszłości... I do czegoś dojdzie w życiu. Bo jakże by miał nie dojść? Wyrokowali tak. Wierzyli w to, co mówili? Wróżyli mu świetlaną przyszłość. I pragnęli jej. Pokładali w nim swoje nadzieje. Pokładały. Bo o babciach myślę, to mówiąc, nie po rodzicach. O rodzicach mniej mi się chce myśleć teraz. Nie do ich świata teraz wracam, a do świata głębszego jeszcze dzieciństwa. Do kraju babcinego. Krainy największej wolności. Największej? Czy może być większa i mniejsza wolność? Czy wolność jest stopniowalna?

Więc wracam do jedyne go, niczym nieskrępowanego świata. Nie krępującego mnie. Nakazami i zakazami. Konwenansami. I konsekwencjami. Zbyt wygórowanymi oczekiwaniami. Porównaniami do innych. Rówieśników choćby. Sąsiadów. Szkolnych kolegów. Nie narzucającego mi niczego.

Tam właśnie wracam. Teraz. Tam. Więc czego się boję? Przed czym drzę? Z powodu jakiego? Że wracam zgorzkniały? Znerwicowany? Rozczarowany sobą?

Że zapomniałem tych oczu babcinych? Tego spojrzenia we mnie ufne go. Pełnego zaufania i akceptacji. Że zapomniałem, że sam mam tak patrzeć na świat? I na siebie zwłaszcza. (Tego się boję?). Właśnie na siebie — oczami mych babć, nie rodziców.

A stało się inaczej. Zatarło się we mnie to, co najważniejsze. Najważniejsza nauka dzieciństwa. Otwartość na człowieka. Wiara w niego. Nadzieja, że można żyć

szczęśliwie, w zgodzie z sobą i innymi. Bo rodzice nauczyli mnie patrzeć poprzez oczekiwania. Najpierw — swoje wobec mnie. Potem — moje wobec innych. Bo wpoili mi, że ich zdanie o mnie jest najważniejsze. Że najważniejsze oceny z życia wystawiają oni. A przy okazji — najbardziej krytyczne. By na modłę swą mnie urobić. Bym od nich nie odstawał. Nie odstawił ich. Nie odszedł nigdy za daleko. Nie umknął w swoje życie. Swój świat.

I nauczyli mnie pogrywać uczuciami. Bo to takie normalne, że rodzice bawią się z dzieckiem. Rozgrywają te swoje emocjonalne gierki. Taktyczne operacje. Zabiegi na otwartym mózgu. I nauczyli mnie wykorzystywać sytuacje i ludzi. Ich słabości. Bo wykorzystywani pragną wykorzystywać. Bo lata całe deformowani — sami chcą później deformować. Wypaczać. Budować intrygi. Reżyserować konflikty. Bo już nie potrafią inaczej. Bo boją się innego świata. Pozbawionego tego pozornego chaosu. Ucisku emocjonalnego. Psychicznego pantomimy. Niekończącej się zgaduj—zgaduli. Wszędobylskiej. Wszechobecnej. W domu, pracy, wśród znajomych.

Tego nauczyłem się od rodziców. Tak zaprojektowanego układu. Taką odebrałem od nich naukę. Rodzicielską. Życiową lekcję. Że nie potrafię nie patrzeć na siebie ich oczyma. Ich właśnie — zamiast babć moich oczu.

I tego się bałem pewnie teraz. Z całą pewnością tego. Że z tym spojrzeniem jadę. Z tym wzrokiem w siebie wbitym. Karzącym. Ganiącym się. Rodzicielskim okiem. W sobie. na siebie. I na okolicę mijaną. W podróży się zmieniającą. Zmienną w tak kół pociągu. Falującą przede mną kępami traw. Łanami zbóż się kłaniającą. Bo sianokosy widać jeszcze nie zaczęte, choć już połowa sierpnia. Matki Boskiej Zielnej. Bo przez te deszcze letnie, burze lipcowe, i lokalne podtopienia, wszystko widać później będzie. Robotę to w polu opóźni.

Tak jechałem. Z każdą godziną dzieciństwu bliższy. Sobie samemu. Pozostawiający na Wybrzeżu rodzinę, gdzieś na kocykach plażowych rozciągniętą leniwie. Rozleniwioną i senną. I pustą w środku jak pisanki. Nieuważną. Na moje słowa nie zważającą. Nic sobie z nich nie robiącą. Także ze wspomnień moich. Z nich zwłaszcza. Nieciekawo historii rodzinnych. Wiedzy jakiejś o dziadkach swoich. Nieciekawo niczego poza nimi samymi.

Ale może to i lepiej? Bo bez bagażu ciężkiego. Doświadczeń i blizn. Tego nadbagażu, który ja teraz wlokę ze sobą, w sobie, w pociągu. A też — i moja w tym wina, bo nie umiałem ich wychować. I zaciekać sobą. Swoją przeszłością. Życiem. Bo nie byłem dla nich autorytetem. Bo nie było powodu, bym był. Chyba, że argument pasa.

Perswazja rodzica. Umiałem ich zrazić do siebie. Jak i mnie zrażono, zrażali. Moi rodzice. Nie, bić to nie. Mnie bito. Objano. Ale ja na nich ręki nie podniosłem. Co to, to nie. Do tego się nie posunąłem. Tak daleko się nie zapędziłem. Szczęściem — to przeszłość już. Dzieciństwo ich. A moje rodzicielstwo. Trudne. Nieudaczone. Fakt.

Więc nie mam prawa do żalu teraz. Że nie są jak ja. Że się buntują, chcąc po swoim wszystko. że nie jesteśmy tu razem teraz. Nie przezywamy tego wspólnie. Zresztą — co żeśmy wspólnie przeżywali? Sztuczną, plastikową atmosferę wigilii? To moja wina, że nie umiałem im stworzyć domu marzeń. Zwłaszcza po śmierci żony. Po tym nagłym ciosie, na który nikt nie był przygotowany. Nie mógł być. Ani ja, ani oni. Nigdy nie czułem się bardziej bezradny jak wówczas. Bezradny wobec życia. Wobec pustki, jaka po niej została. Niczyja śmierć mnie tak nie przygniotła. I tak nie osamotniła. A przeżyłem ich tyle przecież. Pogrzeby rodziców, dziadków, jakichś wujów i ciotek — rodzeństwa ojca. Których dzieci od wielu już lat nie widuję. Kontaktów nie podtrzymuję. Od czasu tych pogrzebów właśnie. To pogrzeby kończyły wszystko. Co było.

Rozrywały wszystkie wiążące nas niegdyś nici. Choć niestety nie wszystkie jednak. Bo te najtrudniejsze więzy zostały. Gordyjskie. Te z matką i ojcem. Może nawet wzmocniły się teraz. Zakonserwowały.

I nadal ciągną ku ziemi. Do siebie szarpią. Moje nerwy. Jak długo jeszcze? Jak długo to wytrzymam? Bo przecież się nie wyszarpię. Nie zerwę z łańcucha. Już za późno dla mnie. Na swobodę. Nic nie dały te szczeniackie, młodzieńcze bunty. Tylko uśmiech politowania na ich twarzach. Jakby wiedzieli, że nie dam rady. Że nie potrafię. Że zbyt słaby jestem, choć twardego udaję. Że to poza twardziela jest jeno.

Przenicowywali mnie wzrokiem. Prześwidrowywali na wylot. Jak tarczę na strzelnicy. Taką tarczą im byłem. Do podziurawienia. Ugodzenia. Jak cel. Rozpostarty. Rozwieszony przed ich spojrzeniami celnymi. Bezradnie. By mogli mnie świdrować sobą dowoli. Jak im się żywnie podobało. I nadal świdrują. Ze mnie teraz strzelają. Bo i siedzą we mnie przecież. Nadal. Głęboko. Na zawsze już.

A ja znowu o sobie. Jak się zamyślę, to od razu o sobie tak. I o nich. No, to jak taki egocentryk może umieć wychować dzieci sobie, synów swoich, no jak? Nie da się. Choćby i chęci były, to się nie da. Toteż tacy są, tak wyrosli, że zamknęci dla mnie. Pochowani ze swoimi emocjami. W swoich skorupach siedzący. I ja przed nimi zamknięty na cztery spusty. Opancerzony jak Schleswig—Holstein. Zjeżony jak wystraszony jeż. Przejęty rolą ojca. Ciężarem tej roli. I ciężarem swoich wspomnień. Tym

nadbagażem, który teraz wiozę. Który jest ze mną zawsze, i którego nie zrzucę przecież i tam — w domu mojego dzieciństwa. Nawet tam. Nawet ten dom nie ma takiej mocy. I stąd mój strach. I wątpliwości. Czy dobrze robię jadąc? Tam. Czy to ma sens? Sobie już nie pomogę, a żal patrzeć na tę ruinę. Zrujnowane dzieciństwo. Bo przecież nie tak miało być. Bo wszystko nie tak się potoczyło. Choć babcie temu nie winne. One akurat nie.